

Jan Błoński

Po co "Teksty"?

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (25), 1-6

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN

dwumiesięcznik 1, (25) 1976

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY • KRYTYKA • INTERPRETACJA

Po „Teksty”?

«Teksty» przestały podobać się swoim własnym redaktorom. «Za mało uczone» — oświadcza pierwszy. «Ba, gdyby tylko! — licytuje następny — Gorzej, że wymizdrzone, pretensjonalne, stale wężące za marginesowymi problemami». «Obce, codziennym polonistycznym troskom, oderwane od literackiej aktualności» — biada trzeci. «Mdle, nijakie, podobne do dziesiątków innych ‘przeglądów’ i ‘bibliotek’» — wtrąca się znów pierwszy, czując, że za mało ponarzekał. «Pozbawione impetu i agresywności» — dorzuca szybko czwarty. «Może niepotrzebne?» — wnioskuje odważnie piąty. Szósty oponuje nieśmiało, że zarzuty znoszą się nawzajem. Ale dobrze wie, że mogą być słuszne, albowiem logika nigdy nie miała nic wspólnego z redagowaniem pism, zwłaszcza naukowych. Lecz czym właściwie są «Teksty»? Demon klasyfikacji krąży, szukając, kogo by pożreć. Rzućmy mu na łup pisma, powiedzmy, naukowe. Trojaki one: branżowe, środowiskowe i programowe. Pierwsze są najliczniejsze, zwłaszcza w krajach niewielkich i centralnie zarządzanych. Nie mają (i mieć nie mogą) określonej linii intelektualnej. Powinny dopuszczać do głosu rozmaite orientacje naukowe, przydzielać właściwe quantum miejsca rozmaitym problemom, dbać o możliwie najwyższy poziom wypowiedzi... Słowem, reprezentować «discyplinę», ostrożniej mówić, jak komiwojażer o branży. Drugie potrzebne wtedy, kiedy liczniejsza już gromada uczonych zaczyna roz-

padać się na grupy różniące się nie tyle światopoglądem, ile stylem myślenia. Z reguły te różnice wyrastają z odmienności terytorialnych, pokoleniowych, instytucjonalnych. Trudno się dziwić, że uczeni gabinetowi hołubią rozmaite utopie, podczas gdy dydaktycy, otoczeni tłumem studentów domagających się rady, stopnia, zaliczenia... troskają się przyziemnie o ciągłość myśli i przekazywalność osiągnięć. I czyż nie każe tradycja, aby Kraków duchowi hołdował, Poznań zaś czcił materię? Środowiskowa grupa może tak spuchnąć, że zagarnia w swe ręce dyscyplinę (objawia się wtedy nieraz bolesna dwuznaczność słowa). Lecz może również wyspecjalizować swe zainteresowania, dochodząc do znawstwa i dokładności bądź olśniewającej, bądź przyczynkarskiej... Bywa wreszcie — i nie tak rzadko w końcu — że skupia się wokół określonego programu badawczego. Zwykle zawdzięcza to jednej lub paru wybitnym jednostkom, które potrafią narzucić mu doktrynę, albo przynajmniej język nowy. Jej pismo nabywa znamion programowych: reprezentuje nie naukę w ogóle, lecz szczególną metodę, filozofię, światopogląd badawczy: zmierza też do zgromadzenia wszystkich, którzy taką metodę czy światopogląd wyznają.

Te trzy odmiany pism posiadają oczywiście swe karykatury. Pismo branżowe zmienia się czasem w kubel na artykuły, których nie można ogłosić gdzie indziej. Dławi się od materiałów, ale gromadzi je niczym introligator... Bywa też odwrotnie: słabnie, zamiera nawet, bądź dlatego, że nie umie sprostać konkurencji pism programowych i środowiskowych, bądź dlatego, że zakres dyscyplinarnych zainteresowań określony został staroświecko czy dogmatycznie. Pomijam już pisma splodzone przez boginię półgłówek, Symetrię: ponieważ instytut naukowy przemysłu krzeselkowego ma swój kwartalnik, instytut przemysłu szafkowego nie obędzie się bez półrocznika... Pisma środowiskowe zmieniają się w narzędzia nacisku: proces cichej gangsteryzacji jest jednak nieporównanie rzadszy (i per saldo mniej szkodliwy) niż rozmywanie się wymagań w koleżeńskie zgodliwości. Wreszcie pisma programowe przekształcają się czasem w miejsca kultu wybitnych osobowości, albo też w akademie rozcinaczy włosa na czworo... Jeśli nawet tak nie jest, skazane są na żywot krótkotrwały: błyszczą silnie, lecz niedługo. Albo wstępny program jest za słaby, aby podtrzymać trwanie pisma, które szybko prosi o pomoc szersze środowisko. Albo jest tak płodny, że przyspiesza rozwój dy-

scypliny i pobudza wybitnych badaczy, którzy muszą mu się przeciwstawić. W obu wypadkach pismo utożsamia się ze szkołą badawczą i dzieli jej losy.

Jak teraz złowić w tę siatkę «Teksty»? Pismo to niby branżowe, skoro przed nikim drzwi nie zamyka i żadnej subspecjalności z założenia nie lekceważy... Ale przecież ogarnąć całości problematyki nie potrafi. I nie zdoła bezstronnie, sprawiedliwie rozdzielić swoich zainteresowań między wersologię, tekstologię, komparatystykę, średniowiecze, renesans, oświecenie itd. — między całą literaturoznawczą rodzinę, równie rozplenioną co papierozerną. Może więc — środowiskowe? Zapewne, gdyby nie przyjacielskie więzy łączące współ- i pracowników Instytutu Badań Literackich, nigdy by nie zdołało powstać ani, tym bardziej, wypełnić swoich szpalt. Ale Instytutu przecie nie reprezentuje. Co gorsza, o niczym innym nie marzy, jak o aliansach i mezaliansach, o przepływie myśli i ludzi, który nosi dzisiaj nazwę interdyscyplinarności; ta zaś musi rozsądzać środowiskowe spoistości. Programowe zatem? Nowość nie jest żadnym programem. I jeśli «Teksty» wiele zawdzięczały — i zawdzięczają — inspiracjom strukturalistycznym i semiologicznym, to ani chciały, ani mogły uprzywilejowywać określonej metody, stronniczego — nawet płodnie stronniczego — podejścia do literatury. Możliwe zresztą, że na taką stronniczość polskiego literaturoznawstwa po prostu nie stać obecnie. I możliwe także, że wspomniane orientacje straciły już dzisiaj impet oryginalności... Słowem, «Teksty» są hybrydą. To zaś, co genetycy nazywają hybrydą, nosi w zwykłej polszczyźnie nazwę potwora.

Tak by mniej więcej można podsumować dyskusje rozbudzone redakcyjnym niezadowoleniem. Lecz ujawniło ono także inne napięcia, które w praktyce bardzo trudno opanować czy zrównoważyć. Najpierw — między ośrodkiem a potrzebami dyscypliny. Każda nauka czy, mówiąc ostrożniej, wiedza przedmiotowa ma swój rdzeń czy ośrodek. Jest nim — w naszym przypadku — badanie tego, co swoiście literackie narzędziami swoiście literaturoznawczymi. Ale współczesne tendencje przemieszczają coraz brutalniej to centrum — jeśli wolno powiedzieć — ze środka na obwód koła, które obejmuje dyscyplina. Powiedzmy uczciwie, że literaturoznawstwo zawsze miało temperament półdziewicy. Dzisiaj zaś jawnie wyszło na ulicę i zaczepia przechodzących. Jakże się bowiem rozwijało? Prowoku-

jąc gwałty, które na nim dokonywały dyscypliny sąsiednie: filozofia, socjologia, psychologia itd. Podobnie zresztą dzieje się wszędzie — nie tylko w nauce. Już nawet kompozytorzy — jak skarżył się niedawno Bogusław Schaeffer — chętniej rozprawiają o etnologii czy polityce, niż zaczerniają papier nutowy... Cóż dopiero powiedzieć o polonistach. Podskubują Freudów, Marksów i de Saussure'ów (ograniczam się do niespornych autorytetów), aby z uszczkniętych piórek uścielić sobie na chwilę gniazdko; czy naprawdę przytulne, wolno wątpić. Nie ma w tym jednak wyrachowania ani perwersji, raczej konieczność. Wpędza ona w sprzeczność, którą trudno rozwiązać samym zdrowym rozsądkiem: tę mianowicie, że aby rozwijać dyscyplinę, należy ją stale opuszczać. Refleksja nad literaturą prowadzi wtedy do uprawiania czegoś w rodzaju antropologii kulturowej. Któż jednak powinien się jej poświęcać? Badacze literatury? Będzie wtedy dyletancka. A zatem sąsiedzi i koledzy? Jak ich jednak zgromadzić? W imię czego, pod jakim sztandarem? I dlaczego w piśmie poświęconym literaturze? Tak więc intelektualna moda i mechanika rozwoju (w tym przypadku zgodne) skazują nas albo na amatorstwo, albo na anachronizm.

Na to napięcie nakłada się inne, może nawet bardziej widoczne. Nie jest tak, aby rozwój rozkładał się równomiernie na całokształt materiału, którym się dana dyscyplina zajmuje. Raczej przeciwnie: im rozwój szybszy, tym bardziej selektywny. Pojawiają się uprzywilejowane punkty czy strefy, gdzie najłatwiej o oryginalność (czy przynajmniej o złudzenie nowości, o poczucie przynależności do awangardy). Bywają to rozmaite teoretyczne problemy, ale także dzieła, które najbardziej drażnią ciekawość, prowokują do refleksji i polemik. «Przymus» badawczy pokrywa się czasem z wyborem czytelników, z gustami (wyrafinowanej choćby) publiczności. Ale czasem nie. Sade jest naprawdę nudniejszy od Musseta, Parnicki od Orzeszkowej. Powstaje tak niepokój, złe sumienie, lęk wyobcowania... Istnieją przecież autentyczne potrzeby szkoły czy księgarni, które badacz odczuwa często równie silnie co laik: uczestniczy przecie w literackiej kulturze swego czasu jako dydaktyk czy po prostu czytelnik. Łatwiej dziś napisać czy spowodować napisanie dziesięciu książek o Gombrowiczu czy Białoszewskim niż jednej o Mickiewiczu czy Kochanowskim. Czy to znaczy, że Kochanowski lub Mickiewicz nie zajmują badaczy jako czytelników? Wcale to takie pewne

nie jest. Może właśnie Mickiewicza kochają równie gorąco co Chrzastowski? Tylko trudno im do Mickiewicza dotrzeć, jako badaczom właśnie, z należąca powagą i znajomością spraw... dopóki nie «złatwią» sobie problemów dostępniejszych za pośrednictwem aktualnie roztrząsanych autorów. Przejaskrawiam zapewne; ale bywa istotnie, że wewnętrzne konieczności — lub przynajmniej preferencje — uprawianej dyscypliny skazują niejako badaczy na pisarzy, którym niekoniecznie dają w głębi serca pierwszeństwo. Z takimi wyborami każdy musi się na własny rachunek uporać. Odczuwalne są jednak także w redakcyjnej praktyce. Modni autorzy i ciekawe problemy są rozkoszą i przekleństwem zarazem. Czy iść za powszechną tendencją, zdążać do rozwinięcia i wyczerpania stymulujących dzieł i zagadnień? Czy też łamać kostniejące prędko snobizmy i przyzwyczajenia, choćby nader nowoczesne? Albo inaczej: co gorsze — badać bez miłości, czy kochać bez zrozumienia? Jak mawiał pewien niezapomniany lingwista, oba gorsze. I łatwo wpaść w objęta pułapki jednocześnie.

Dopiero teraz uwidaczniają się — znane i nieraz dyskutowane — trudności, wynikające ze specjalizacji, narastającej nieprzerwanie wewnątrz wiedzy o literaturze. Ale tyle już o nich napisano. Teoria, historia, krytyka, interpretacja rozchodzą się coraz dramatyczniej. Ale dramatycznie nie znaczy radykalnie i zdecydowanie: rozejście nie pomaga w budowaniu własnych paradygmatów, nie ułatwia wcale specjalistom syntezy... Przypominają się skłócone małżeństwa, które «przypadek» stale wiąże na nowo. Nasze dziedziny rozpylają się jakby na molekuly, na drobne ośrodki zainteresowań, uparcie (choć czasem przypadkowo) pozaczepiane o molekuly sąsiedniej subdyscypliny. Istnieją tajemnicze punkty (dzieła, tematy), o które dość potrącić, aby bezosobisty teoretyk przedzierzgnął się w impresjonistycznego krytyka, subtelny hermeneuta jał snuć historiozoficzne rozważania itd. Tkanina literaturoznawstwa staje się tak coraz to luźniejsza, pełna niespodziewanych dziur i dziwacznych splatań. Objawiało się to nieraz praktycznie: wtedy, kiedy «Teksty» starały się skupić kilkanaście osób wokół jednego tematu. Nie tylko trudno znaleźć płaszczyznę przekroju, która by umożliwiła im spotkanie. Jeszcze wynik spotkania może się okazać — i czasem okazywał — wątpliwy. Właśnie z powodów, o których powyżej.

Czy zatem «Teksty» muszą — nieuchronną koleją rzeczy — stać

się jeszcze jedną zszywką, przeglądem, almanachem humanistycznych rozważań? Czy, wyczerpawszy energię własnej młodości, powinni pogodzić się z prawami wieku? Jak i czy mogą istnieć? Oto jest pytanie.

*A gdy tak jeszcze spróbować?
Jak Hamlet...*

Jan Błoński